

— Wy, Dealczycy, znacie prawo żeglarskie — odezwał się, pomijając milczeniem kręte drogi pomyśłów Abrahama. — Czy kapitan ma prawo zatrzymać nas na statku, wbrew naszej wyraźnej woli i chęci?

— Co znaczy prawo na pełnym morzu? Co chce kapitan, to robi. Ja na pana miejscu piłbym i jadł na koszt kapitana, ileby się tylko dało; lepszego rumu nie dostanie nigdzie na lądzie i morzu. Przytem jednak codziennie przy śniadaniu, obiedzie i kolacyi opowiadałbym, że chcę wracać do domu. Jeśli zatrzymamy się w jakim porcie, to zaskarżycie go do sądu, a za odszkodowanie powrócicie do domu, a jeszcze kilka funtów zostanie wam w kieszeni.

Z temi słowy odwrócił się od nas i pomaszerał do steru. Zaraz potem rozległ się głos kapitana:

— Jaki śliczny czas! Pana telegram został przyjęty, Mr. Tregarthen, możemy wobec tego przypuszczać, że nasz wspólny przyjaciel jest już uspokojony, prawda, panno Nilsen?

Jeszcze jedna burza.

Helga wskazała w kierunku, gdzie przed chwilą znikł parowiec na horyzoncie. Niestety, nie dojrzelismy jego nazwy.

— Dlaczego pan pozwolił, abyśmy stracili taką dobrą sposobność powrotu?

— Pani i pana Tregarthena towarzystwo tak mnie uszczęśliwia, że nie mam siły z wami się rozstać — odpowiedział kapitan Bunting.

Niebieskie oczy Helgi zapłonęły gwałtownym gniewem, a pierś jej podnosił przyspieszony oddech.

— Pan nazwał się wczoraj samarytaninem. Czy to jest postępowanie samarytanina?

Kiedy spojrzałem na kapitana, zauważyłem, że wzburzenie jej robi mu ją jeszcze piękniejszą, tak, iż formalnie pożerał ją oczami.

— Samarytanin odegrał więc dobrze swą rolę? — zapytał z zadowoleniem. — Moja kochana panienko, cnota ta tylko się jeszcze w nim pogłębiła. Teraz, kiedy nasza depesza już jest wysłana do Anglii, niema żadnej przeszkody, która by nie pozwoliła używać w całej pełni rozkoszy naszej małej wyprawy krzyżowej.

Dałem Heldze znak, aby milczała i poszedłem na przód okrętu, pod pozorem, że chcę popatrzeć na kompas, aby we mnie gniew się uspokoił.

Wiatr po zachodzie słońca przycichł zupełnie, morze wygładziło się, a gdy siedzieliśmy przy kolacyi, słychać było uderzenia żagli o maszty. Nadskakiwanie kapitana Heldze zaczynało przy stole stawać się coraz bardziej widocznym. Przymuszał ją słodkimi słowy do jedzenia i picia i prosił o wypowiadanie swoich życzeń. Kolorowy kucharz nie jest wprawdzie pierwszorzędną siłą w swym fachu, ma się jednak tak starać, aby zadowolili wszelkie jej wybredne gusta.

— „Światło świata“ nie jest wprawdzie pierwszorzędnym statkiem zbytkownym — twierdził, podkreślając wąsy, ale złote lustra i prawdziwe dywany nie stanowią przecież, na szczęście, bezwzględniego warunku ludzkiej szczęśliwości. Przecież słońce świeci nam równie jasno, a wiatr przynosi tę samą świeżą wilgoć morską.

Tak mówił długą chwilę, jak gdybyśmy byli ze sobą w najzupełniejszej harmonii i wszyscy cieszyli się bardzo przyszlą wspólną podróżą. Ze ja byłem bardzo chłodny i odpowiadałem tylko monosylabami, a bardzo mało jadłem i piłem, nic mu nie przeszkadzało. Niepowstrzymanie wylewały się potoki jego wymowy.

Ponieważ Helga odmówiła mu udziału w grze w szachy, jaką zaproponował po kolacyi, wydobyl Taylora „Święte żywoty i czyny“ i prosił o pozwolenie przeczytania kilku ustępów głośno. Jeszcze dzisiaj stoi mi przed oczyma oryginalny obraz, na jaki wówczas patrzyłem. Trzymając grubą książkę w obu rękach, czytał nosowym głosem bez żadnej intonacji, robiąc tylko od czasu do czasu pauzy, jakby oczekując wyrazów uznania ze strony Helgi. Po chwili, chcąc sobie widocznie odpocząć, prosił Helgę, aby ona czytała.

— Jakąż to będzie uczta dla nas, słyszeć pełne

siły słowa wielkiego biskupa, czytane rozkosznymi ustami panny Nilsen — zawołał.

Młoda dziewczyna odmówiła jednak i tak, po pół godzinie, opuścił nas wreszcie, przeświadczony święcie, iż w oczach Helgi poczynił znaczne postępy.

— Staje się tu gorzej, niż na tratwie, Helgo — odezwał się po jego wyjściu. — Chodźmy na pokład, gdyż może zechce mu się jeszcze wrócić.

Był nów, ale gwiazdy błyszcząły silnie, co wskazywało na zmianę pogody, jak to nieraz w domu obserwowałem. Na północnym wschodzie pojawiały się od czasu do czasu fioletowe błyskawice, co nie byłoby w tej szerokości zresztą rzeczą nadzwyczajną, gdyby nie okoliczność, że przy ich świetle ujrzelismy zbliżające się wielkie chmury. Zielonawe płomyki wyskakiwały tu i ówdzie na powierzchni morza, które bez szmeru prawie podnosiło i opuszczało swe fale, jakby oddech olbrzyma silnie spracowanego. Mokre perły obficie spadłej rosy perlily się na rejach i pokładzie jak kryształki lodu. Abraham stał na straży. Dojrzałem go obok steru rozmawiającego z jakimś Malajczykiem.



Mr. Jones pojawił się po chwili na pokładzie i pokazał mi wielką czarną tablicę.

— Dzisiaj w nocy będzie tegi wichur — zawołał ku mnie. Stentorowym głosem wydał następnie rozkaz, aby zwiżano żagle. Zaraz też ciszę nocną rozdarł i napęłnił zgłęb i krzyk zwiżających się majtków.

— Tu jest także kapitan — szepnęła Helga, cofając się.

— Bardzo dobrze, Vise — usłyszeliśmy jego głos. — Barometr silnie spadł i na północnym wschodzie błyska się. Najlepiej, zawołaj wszystkich na pokład, gdyż tylko w czasie pogody mogę tym bestyom ufać.

Abraham uderzył pięścią w drzwi kajuty marynarzy i huknął donośnie:

— Wszyscy na pokład! Zwiżać żagle!

Zaraz potem cały pokład napęłnił się szybko przesuwającymi się cieniami; w ciemnościach zaczęły rozbrzmiewać okrzyki, podobne do głosu papug. Przystało się błyskać, ale ciemność jeszcze bardziej zgęstniała, a gwiazdy nad nami znikły szybko, zakryte olbrzymimi napływającymi chmurami. Ponieważ nie chcieliśmy, aby kapitan nas obserwował, zeszliśmy na dół do kajuty. Chętnie byłbym sam chwycił się pracy i pomógł; ale w tych warunkach postanowiłem nie ruszyć się zupełnie do pracy. aby

zaznaczyć moją niechęć i kapitana trochę zreflektować. Może wtedy przecież uzna, że poszedł za daleko.

Po przez hałas na pokładzie, między głosami Abrahama i Mr. Jonesa oraz wśród śpiewu Malajczyków, wyróżniał się dobitnie donośny głos kapitana, który dzisiaj był zupełnie niepodobny do zwykłego jego słodkiego głosu. Groźna, zbliżająca się burza obudziła w nim prawdziwego marynarza. Bose nogi Malajczyków przebiegały przez pokład z charakterystycznym uderzeniem tu i tam. Helga przysłuchiwała się manewrowaniu i nazywała wszystko technicznie po marynarzku.

— Słyszę chętnie twarde język marynarski w pani ustach, Helgo, ale, broń Boże, niech tego nie usłyszy kapitan. Jego podziw nie będzie miał wtedy granic.

— Cóż mam robić, aby obudzić w nim wręcz przeciwnie uczucie, Hugh?

— Spodziewam się, że państwu tu na dole dosyć dobrze i wygodnie — odezwał się w tej chwili zbyt dobrze nam znany głos. Helga po prostu skamieniała.

— Moja barka jest już przygotowana na przyjęcie burzy, nie mogę, niestety, dotrzymać państwu towarzystwa, gdyż muszę być na pokładzie. Proszę, niech pani uważa się tu za gospodynię, panno Nilsen i proszę rozkazywać Pnumeamoocie. Możecie państwo spokojnie udać się na spoczynek; czuwał nad wami, ale, czy nie mógłbym pani jeszcze raz prosić, aby pani przeniosła się do kajuty Jonesa?

Helga podziękowała w kilku słowach, poczem kapitan, kręcąc głową nad tą fantazją kobiecą, poszedł na górę. Po chwili zjawił się, jak duch, Pnumeamootty.

— Teraz pójde za mądrymi naukami Abrahama — odezwał się do Helgi — i wypróżnię zupełnie szpiżarnię. Pnumeamootty, daj to, co masz najlepszego, na stół, a i do picia, co tam macie! Czy niema czegoś innego zamiast rumu, n. p. wódki?

— Owszem, panie, być trzy flaszki w razie choroby.

— Dobrze, dawaj jedną, ale spiesz się z podawaniem, bo wnet rozpocznie się huśtanie. Pnumeamootty roześmiał się cicho całą twarzą i ze zręcznością małpy nakrył stół. Gdy Malajczyk miał właśnie otworzyć butelkę, wszedł kapitan.

— Co ty masz w ręce, Pnumeamootty, czy to wódka?

— Tak jest, kazałem przynieść butelkę — odpowiedziałem za niego.

— Proszę, niech pan się z tem oszczędnie obchodzi, gdyż mam tylko trzy flaszki — rzucił niechętnie, hamując niezadowolenie. Poczem wyszedł.

— Hurra! Abraham ma rację! — roześmiałem się. — Będziemy go teraz pbrządnie gnębić.

Helga próbowała trochę jeść i pić, a ja, choć nie miałem apetytu, udawałem, jak gdybym z wielką żarłocznością wszystko spożywał. Przesuwałem z hałasem talerze, gdyż wiedziałem,

że kapitan z góry mnie obserwuje, napęłniłem potem szklankę wódką i zawołałem:

— Na nasze szybkie oswobodzenie, Helgo! Albo, jeśli się to nie uda, na szybką podróż tem starem pudłem. Potem już będziemy wiedzieć, co robić. Doskonała wódka! — wrzeszczałem tak, że mnie aż na pokład było słychać. — Należy mi jeszcze raz. Przecież to była tylko kropelka — chciałem pokazać, że nie mam zamiaru oszczędzać flaszki.

— Możecie posprzątać, Pnumeamootty, a jeśli znajdziecie jakie cygaro, to dawać tu.

— Cóż tu słychać na dole? — Twarz kapitana ukazała się w okienku.

— Dziękuję, podjedliśmy sobie — odpowiedziałem dumnie. — Pnumeamootty, proszę cygaro. Głowa natychmiast zniknęła.

— Ja nie wiedzieć, gdzie cygara kapitan mieć.

— To przeszukaj całą jego kajutę — krzyknąłem głośno.

Chłopak potrząsnął głową, śmiejąc się.

(Ciąg dalszy nastąpi).